Nr. 15. We Lwowie, Poniedziałek dnia 14. kwietnia. 1890.

Dodatek literacki „DZIENNIKA POLSKIEGO".

Z Londynu.

Rzeczą, która często zadziwiać może cudzoziemca, nie wtajemniczonego jeszcze w tok myśli społeczeństwa angielskiego, jest rodzaj niecierpliwości, a nawet rozdrażnienia, jakie napotyka, gdy głośno wyraża swój podziw dla potęgi ich rękodzielniczego rozwoju, albo dla wielkości dzieł i machin inżynierskiej sztuki. A nie pochodzi to bynajmniej z lekceważenia inżynieryi, gdyż przeciwnie Anglicy uważają ją jako dziedzinę niezaprzeczonego ich pierwszeństwa i pogardzają ogólnikami, składanemi jako hołd uznania, ale podejrzewają w tych pochwałach istnienie zarzutu, że w innych dziedzinach, w literaturze, w sztuce pięknej i ozdobniczej uważani są za zacofanych lub niedojrzałych. Najwyższą ambicyą tych synów fabryk i doków jest: być pierwszym pomiędzy artystycznemi narodami. Do tego przywiązują wagę, z tego się chełpią, ku temu zwracają się słońcu. Nic nie głaszcze bardziej ich słusznej narodowej dumy i przesadzonej miłości własnej, jak istnienie brytańskiej szkoły, jeżeli nie we wszystkich działach sztuk pięknych, to przynajmniej w malarstwie i budownictwie. Obecnie właśnie wszczął się ruch, można powiedzieć, społeczny, powszechny, mający na celu rozbudzenie samopoznania w społeczeństwie angielskiem, utwierdzenie go w ideach i teoryach swojskich i przeciwstawienie ich estetycznemu rozwojowi reszty współczesnego świata.

Ruch ten datuje się od wystawy jubileuszowej, która się odbyła przed trzema laty w Manchesterze. Zebrano tam najcelniejsze dzieła mistrzów angielskich z ostatnich lat pięćdziesięciu, a blask tej wystawy oślepił Anglików i napełnił ich rozkoszną dumą. Chcą obecnie, zamiast gromadzić w dorywczej wystawie ów kwiat produkcyi artystycznej krajowej, zachować go w stałych, organicznych instytucyach. Dzieła sztuki angielskiej rozproszone są obecnie w Londynie w salach British Muzeum, w Muzeum South Kensingtonu, w National Gallery, a wiele z nich tak źle jest umieszczonych, tak podrzędne zajmuje tam kąciki, że wielka publiczność prawie ich nie zna. Dary hojne, jakie czynione są bez ustanku przez magnatów i mecenasów sztuki, przychodzą powiększać te zbiory, ale nie stawiają świątyni dla narodowej twórczości.

Agitacya obecna, na której czele stoi wielu artystów, ale w których imieniu najgoręcej przemawia p. Orbock, nie waha się oskarżać władz rządowych nietylko o całkowitą nieznajomość przedmiotu, o popełnianie niepojętych błędów w zakupywaniu, w klasyfikacyi dzieł sztuki, ale tendencyjne protegowanie obcokrajowych mistrzów z upośledzeniem własnych. Anglicy wtedy tylko rozpoczynają agitacyę, gdy widzą przed sobą drogę jasną i gdy posiadają sposoby zapobieżenia złemu. Otóż jest środek oddania hołdu narodowej sztuce i to bardzo prosty: niechaj Londyn posiada specyalną galeryę dla swych nowoczesnych artystów, taką, jaką mają Paryżanie w Muzeum Luksemburskiem. Wzorem doskonałej organizacyi muzeów berlińskich, dałoby się z łatwością stworzyć w Londynie ową „British Gallery," która dla artystów zdaje się być jakąś obiecaną ziemią. Pieniędzy nigdy w Anglii na tego rodzaju fundacye nie braknie i można być pewnym, że zanimby nowe muzeum stanęło, wystarczyłyby na jego zapełnienie dary mecenasów sztuki. Właśnie teraz bogaty kolekcyonista, Henryk Tate, ofiarowuje krajowi wielki nieporównany zbiór szkoły angielskiej, obejmujący wszystkich mistrzów narodowych, aż do sir Johna Millair, Orchardsona i Hooka włącznie, ale władze wahają się królewski ten dar przyjąć, nie wiedząc, czy im się uda znaleźć odpowiednie pomieszczenie. Skoro „National Gallery", istniejąca dopiero od jakich lat sześćdziesięciu, jest już przepełniona i przy nierównym rozkładzie na działy obce i swojski, nie może dla tego ostatniego znaleźć odpowiednich ram, to zdaje się naturalnem stworzyć nową instytucyę dopełniającą, odrębną.

Stronnicy utworzenia nowego krajowego muzeum dodają, jako ostatni, przemagający argument, że nie ma już chwili czasu do stracenia. Przy powiększającem się znawstwie i zamiłowaniu do sztuk i przy wzroście bogactwa, cena obrazów angielskiej szkoły ciągle idzie w górę. W ciągu ostatnich kilku lat, ile razy na publicznych przedażach pojawiły się dzieła pędzla Gainsborough, Romneya, że już nic o Turnerze nie wspomnimy, gdyż ceny jego obrazów są szalone, to znajdowały z łatwością nabywców po cenach 20, 30 razy większych, niż te, za które zakupione były przed kilkunastu jeszcze laty. Ponieważ zaś krytyka ciągle takiemu zamiłowaniu rodzimych mistrzów przyklaskuje, zatem nie ma powodu obawiać się reakcyi i niedaleką epoka, w której milionerzy tylko będą mogli stworzyć sobie systematyczną kolekcyę tych mistrzów. Jeżeli się społeczeństwo nie pośpieszy i nie zmusi władz do utworzenia Muzeum sztuk pięknych krajowych, to z czasem może stanąć gmach, ale nie będzie już pieniędzy na kupienie obrazów, nie będzie obrazów na sprzedaż.

Nie wiadomo jeszcze, jakie losy przybierze ta agitacya, która chwilowo rozpłomienia wszystkie umysły świata artystycznego i wykształconej publiczności, ale nie da się zaprzeczyć, że w ciągu kilku tygodni sprawa urosła i jest już daleką

od punktu wyjścia. Logika wywodów doszła do stwierdzenia, że chaotyczny stan muzeów i galeryj angielskich pochodzi z braku wszelkiej organizacyi jednolitej ze strony państwa. Coraz jaśniej stawiane jest desideratum: stworzenia ministeryalnego wydziału sztuk pięknych. Rzecz niepojęta! Gdzie się podziały teorye manchesterskiej szkoły o zmniejszaniu roli państwa? Obecnie Anglicy stwarzają jedne po drugich instytucye, centralizujące działalność publiczną w ręku władzy wykonawczej. Czuć, że socyalizm państwowy czeka z.. wrotami.

DZIWACZNE ZJAWISKA.

Pod koniec jesieni zeszłego roku podały dzienniki wiadomość o uderzeniu piorunu, który miał kształt kuli. Zjawisko to, jakkolwiek rzadkie, nie należy wcale do cudownych, ani nawet wyjątkowych. Nadmieńmy tu w krótkości, że p. Gaston Planté, olbrzymiemi aparatami swojemi zdołał wytworzyć kuliste pioruny, które oczywiście w zmniejszeniu były powtórzeniem zjawisk, zauważonych przez badaczy.

Co się tyczy zjawisk tych, przechowała nam kronika naukowa mnóstwo faktów, jeden ciekawszy od drugiego i w prawdziwym znajdujemy się kłopocie, który z nich wybrać. Przytoczymy na los szczęścia kilka najciekawszych, dają one nam bowiem wyobrażenie, w jaki sposób pomiędzy gminem, niezdającym sobie sprawy z nadzwyczajnych zjawisk przyrody, powstawać mogą zabobony.

Pewnego dnia w czasie burzy, wpadł do mieszkania szewca, mieszkającego w Paryżu przy ulicy Val de Grâce, piorun w kształcie dużej ognistej kuli, która się zbliżyła do przerażonego, okrążyła zwolna jego głowę, wionęła ku oknu, zwróciła się potem ku drzwiom i wyleciała kominem. Tam pękła z wielkim hukiem i rozsadziła wylot komina.

Podobny wypadek zdarzył się w czasie wielkiej burzy w Perze (Konstantynopol) r. 1885 w m. październiku. P. Mavrocordato, zaskoczony burzą, wszedł do domu znajomych, których zastał właśnie przy wieczerzy. Nagle pojawiła się w pokoju kula ognista wielkości pomarańczy, wpadłszy tam przez niedomknięte okno. Gość ten płomienisty otarł się o płomień gazowy, zwrócił się następnie ku stołowi, przesunął między głowami dwóch biesiadników, okrążył lampę wiszącą nad stołem, wydał z siebie głos podobny do pistoletowego strzału, poczem wyleciał przez okno i pękł z ogromnym łoskotem.

Du Belly opowiada w swych pamiętnikach o podobnym wypadku, zaszłym dnia 3 marca r. 1557 w dzień ślubu Dianny, córki Dianny de Poitiers. W poślubnej nocy wleciała kula ognista przez okno do sypialni nowożeńców, zwidziła wszystkie kąty komnaty, okrążyła młodych małżonków, zapaliła bieliznę i złożone ubranie panny młodej i wyleciawszy znowu przez okno, pękła z przerażającym hukiem. Rozumie się, że zjawisko to dało powód do zabobonnych komentarzów.

Gdy już mowa o takich nadzwyczajnościach, mogących dać powód do zabobonnych jakichś legend, należy uczynić wzmiankę o niemniej nadzwyczajnem zjawisku, zauważonem przez p. Paroisse, profesora fizyki w Bar-sur-Aube. Było to 22 maja 1885 r., w dzień pogodny; powietrze było duszne, wiatr nader słaby. Pan Paroisse, znajdując się w ogrodzie p. Comte, spostrzegł, iż niektóre ciężkie przedmioty podniosły się z ziemi do wysokości 10 do 12 metrów, wirowały tam przez czas mniej więcej dwóch minut, i spadły następnie prawie na to samo miejsce, na którem poprzednio leżały.

Pomiędzy przedmiotami temi, znajdowało się okno inspektowe, okute żelazem i ważące 60 kilogramów. Pan Paroisse zauważył, iż wzniósłszy się do wysokości najwyższych topol rosnących w ogrodzie, okno to spadło o kilka metrów na wschód od miejsca, z którego się było zerwało. Niebo było dnia tego zupełnie wolnem od chmur, ale wieczorem błyskało co chwila.

O podobnem zjawisku doniesiono w tymże roku paryskiej Akademii Umiejętności z Pondichery. Niejaki p. M. C. André siedział przy stole w pokoju, przylegającym do wieży morskiej latarni. Niebo było pogodne, a powietrze spokojne. Nagle ujrzał p. André pasek mglisty, długości mniej więcej 2 metrów, odrywający się od szczytu wieży. Równocześnie pod stołem u jego stóp dał się słyszeć łoskot taki, jak gdyby ktoś w stół z wielką siłą i ciężkim młotem uderzył.

Mimo to, nie poruszył się stół, ani żaden z leżących na nim przedmiotów, z wyjątkiem talerza, który zaczął szybko wirować, nie wydając onego głosu, jaki w tym razie, skutkiem tarcia, wydawać był powinien.

Czem wytłumaczyć te dziwaczne zjawiska, o których istocie wątpić nie można, gdyż zbyt poważnymi byli ich świadkowie? Przypuścić można, iż w wypadku z talerzem odgrywała elektryczność pewną rolę, lecz jakiż był powód tego fruwania ciężkich przedmiotów, które zauważył p. Paroisse? Byłażby to trąba powietrzna, mająca zaledwie kilka metrów srednicy, a podnosząca do wysokości 12 metrów przedmioty, ważące 60 kilogramów, około półtora centnara naszej wagi? Oczywista rzecz, iż przypuszczenie to nasuwa się umysłowi przyrodnika, gdyż inaczej nie możemy sobie wytłumaczyć tego dziwacznego zjawiska. Ale z tem wszystkiem jest to jeno przypuszczenie.

„POD CZARNĄ KULĄ“.

NOWELKA

Ludwika Halévy.

Dnia 15. marca 1872 roku o godzinie 9. wieczorem stanęła dorożka przed wejściem zakładu „Pod czarną kulą“, w którym odbywały się bale ludowe. Z powozu wysiadł człowiek, mający około 34 lat wieku, wysoki, szczupły, o wyglądzie inteligentnym i zuchwałym, o blond wąsach, starannie wykręconych, ubrany w czarną aksamitną marynarkę, w miękim kapeluszu filcowym, trochę na bakier nasuniętym, w szewdzkich rękawiczkach.

Od kwandransu czekał nań drugi mężczyzna, przechadzając się po trotuarze. Miał na sobie długi czarny surdut, zapięty pod samą szyję z poza którego wyglądały końce białego kołnierzyka, otoczone trochę zużytą czarną jedwabną krawatką; duży, z ogromnemi rondami kape-

lusz pokrywał mu prawie zupełnie twarz, okoloną krótkiemi przystrzyżonemi faworytami; w ręku trzymał grubą laskę.

Przywitali się z sobą, zamieniając kilka krótkich frazesów.

— Tutaj, Dubrisart, tutaj...

— Marcou... Toś ty mnie wezwał?

— Tak, ja... Ale zawiele tu ludzi, zawiele światła.. Przejdźmy na drugą stronę bulwaru.

— Czy mam zatrzymać fiakra?

— Tak, nie potrwa to długo i niebawem powrócimy do prefektury...

Przeszli ulicę, a gdy znaleźli się na drugim trotuarze, sami oparci o kiosk, stojący na rogu rue des Martyrs, Marcou — człowiek ubrany w długi surdut — zaczął serdecznie obu rękami ściskać rękę Durbisarta — człowieka w aksamitnej marynarce.

Dubrisart, mój drogi Dubrisart, jakże mi przyjemnie cię widzieć. Nie zaglądasz już wcale do naszej dzielnicy; pracujesz obecnie na polu wielkiej polityki; miewasz misje zagraniczne... Mówiono mi o tem... I gdy pomyślę, że zaczynałeś jako młody urzędniczek w mojej brygadzie... Byłem twoim przełożonym..

— I jesteś wciąż moim przyjacielem, mój dobry, stary Marcou. Powiodło mi się, miałem protekcję...

— Tak, ale miałeś i wielkie zasługi... Jesteś wykształcony, elegancki, dystyngnowany; umiesz się ubierać, jak nikt w całej prefekturze, lepiej nawet od pana prefekta; pochodzisz z zacnej rodziny, znasz język angielski i to ci zdobyło pierwszą misję do Anglii za cesarstwa, gdy cię wysłano, zobaczył, co się dzieje w Ti.. Tonc Tiken... no tam, u książąt Orleańskich.

— Twickenham.

— Tak, tak... Ja, mój drogi, biedują wciąż z małemi sprawkami. Jednakże idzie o rzecz wcale poważną... Przyprowadzono nam w południe do prefektury niejaką Aglaę Ripon... Ty się na tem nie znasz.. To słynna tancerka tutejszych balów popularnych Siedziało nas kilku około pieca... Dziewczyna ta wpadła jak wściekła, oświadczając, że zna jednego z szefów komuny, człowieka który podpalał, rabował, mordował... Naturalnie poprosiliśmy uprzejmie pannę Ripon, aby raczyła usiąść. Ofiarowała się, że dziś wieczorem na balu „Pod czarną kulą", wyda nam tego Stafnera, który był naczelnikiem legii podczas komuny.

— Stafner... Ten co mnie pchnął nożem w małej kawiarni w Bellevile w r. 1860?...

— Ten sam i dlatego wezwałem twojej pomocy. Ja nie znam wcale tego Stafnera, sądziłem więc, iż będziesz łaskaw pomódz mi...

— Z największą chęcią! A poznam go, bądź spokojnym. Czy ma dziś przyjść na ten bal?

— O dziesiątej.

— A Aglae Ripon?

— Trzech moich agentów: Cervoisier, Poilat, Chaulet przyprowadzą ją niebawem... Powinni już być. W dzień, złożywszy swe zeznania, chciała zemknąć panieneczka, ale nie puściłem jej... O, ja się znam na tych figlach kobiecych, mija to w jednej chwili... Powróciłaby do Stafnera, wybaczyłaby mu wszystko, przestrzegła i... spalilibyśmy na panewce. Wyznaczyła mu schadzkę dziś o dziewiątej, na balu. To mi wystarczyło, oświadczyłem więc jej, że dostanie obiad na koszt rządu, że zafundujemy jej fiakra na bal, ale nie wypuścimy wpierw, nim Stafnera w ręce nasze nie odda... Patrz, oto prawdopodobnie oni... Fiaker stanął po tej stronie ulicy.

Rzeczywiście o parę kroków od Dubrisarta i Marcou otworzyły się drzwiczki powozu i wysiadła kobieta wysoka, ubrana w suknię bronzową, czarny kapelusz, z którego zwieszały się trzy olbrzymie róże. Towarzyszyło jej trzech agentów policyjnych, przebranych po cywilnemu; jeden z nich zbliżył się do pana Marcou, dwaj drudzy pilnowali panny Ripon. która oglądała się dokoła siebie, zmieszana, niespokojna...

— Panie Marcou — odezwał się agent — powinien się pan rozmówić z tą jejmościanką... Zaczyna mnie niepokoić... Nie chciała jeść obiadu... Płacze ciągle... W fiakrze ocierała ustawicznie łzy... Nie ulega wątpliwości, iż żałuje swego kroku, a ma ogromny strach przed tem, co pozostaje do zrobienia.

— Rozmówię się z nią — odrzekł Marcou i zbliżył się do Aglai. — Słuchaj-no, kochaneczko, żadnych głupstw. Wiesz, że twój rachunek z prefekturą silnie obciążony... Wystarczyłoby akurat na jakie pięć lub sześć miesięcy więzienia...

- Oho! byłam już w więzieniu i wiem, że się tam nie umiera z głodu.

— Ale, kochaneczko, miej się na baczności, jak teraz cię wpakujemy... — ciągnął dalej Marcou.

— Bierzesz się źle do rzeczy — rzekł Dubrisart do Marcou. — Nie trzeba nigdy zrażać kobiety. Pozwól, ja się z nią rozmówię.

I zbliżając się do Aglai Ripon, rzekł:

— Słuchaj moja mała. Więzienie, to niewielka rzecz i to w twojej pozycyi nic to strasznego. Ale ty masz honor i dbasz o ten honor. Otóż jeśli będziesz rozsądną, oszczędzimy twoją reputację i nikt nie będzie wiedział, żeś to ty wydała nam Stafnera. Siędziesz sobie w sali balowej przy małym stoliku, tuż obok drzwi, prowadzących do ogrodu. Ci trzej panowie będą ci towarzyszyli. Zafundują ci wina i papierosów, wszystko na koszt rządu. Ja i ten pan będziemy w ogrodzie. Gdy Stafner przybędzie, wyjdziesz naprzeciwko niego. Jeśli zechcesz go wyprowadzić przez drzwi wchodowe, agenci rzucą się na Stafnera, aresztują go, ciebie wcale nie dotykając; to cię najbardziej skompromituje, każdy bowiem pozna, żeś sprzedała Stafnera za 50 franków, lecz jeśli grzecznie i spokojnie przyprowadzisz go nam do ogrodu, aresztujemy was oboje. Nie będzie dla ciebie żadnego wstydu; zaprowadzą was do prefektury, a za kwandrans wypuścimy cię na wolność. Będziesz mogła pójść sobie jeszcze gdzieindziej na bal... Widzisz, jak to wszystko ładnie ułożone... Zgadzasz się? będziesz rozsądną?... No, idź z tymi panami. Czekamy na ciebie w ogrodzie. No, a nieżałujcie jej wina!

Aglae i trzej agenci weszli do zakładu „Pod czarną kulą". Marcou patrzał z widocznym zachwytem na Dubrisarta.

— O, teraz rozumiem — rzekł — dlaczego zaszedłeś tak wysoko. Umiesz sobie dawać radę z kobietami.

— O, i z mężczyznami także — zobaczysz.

Chodźmy na bal. Zabawi mnie to, bo dawno już nie byłem „Pod czarną kulą“; no i z przyjemnością zobaczę Stafnera, po którym został mi ślad dotychczas.

Weszli na schody i znaleźli się na sali. Dym fajek mięszał się z wonią gorącego wina. Hałaśliwa orkiestra grała kadryla. Tańczono zawzięcie. Dubrisart obszedł dokoła salę, a zobaczywszy Aglaę, przesłał jej uprzejmy ukłon. Odpowiedziała mu uśmiechem.

— No, chodź stary — rzekł Dubrisart — zapalimy cygaro w ogrodzie, czekając na Stafnera. Aglae go przyprowadzi — ręczę ci a tymczasem pogadamy sobie.

* * *

Zimno było tego wieczora, więc w ogrodzie zupełnie pusto. Obaj usiedli w głębi na ławeczce.

— Dam ci dobre cygarko — rzekł Dubrisart — kupiłem kilka pudełek wybornych w Antwerpii.

— Byłeś zatem w Antwerpii?

— Tak, przed paru tygodniami. Jeździłem za hr. Chambordem.

— Jeździsz dużo?

— Od 4. września jestem w ciągłych podróżach.

— Podczas oblężenia nie byłeś w Paryżu?

— Nie. Już 5 września wiedziałem doskonale, co wart rząd obrony narodowej. Ci panowie sądzili, że Paryż da się utrzymać bez tajnej policji... Istne warjaty!

Ponieważ miałem reputację zdolnego agenta, więc mi ofiarowano miejsce sekretarza przy nowomianowanym komisarzu policji, który nie umiał dać sobie rady. Odmówiłem. Nie lubię siedzieć w biurze, trzeba mi: ruchu, życia, wrzawy. Powiedziałem sobie: pierwej czy później zreorganizują znowu tajną policję, a wówczas będę im potrzebny. Wyruszyłem więc z Paryża z kompanią wolnych strzelców. Przez dwa miesiące włóczyliśmy się po lasach orleańskich, a później trochę obdarci i przerzedzeni, udaliśmy się do Tours, by się nieco ogarnąć i zorganizować. Stało się to około 15 września.

Pierwszą osobą, którą spotkałem w Tours, na ulicy Królewskiej przed hotelem „Pod bażantem,“ był duży Varsac, ten, co przed 4-tym września służył w brygadzie pałacowej. Zaprowadził mnie natychmiast do dyrekcyi bezpieczeństwa publicznego. Opowiedział mi wnet w drodze, że p. Gambetta ma choć trochę wyobrażenia o rządzie; że od chwili, gdy doszedł do władzy, zajęto się reorganizacyą tajnej policyi i że są z tego powodu w wielkim kłopocie. Zaimprowizować prefektów, podprefektów, generałów — przychodziło łatwo rządowi w Tours; ale nie improwizuje się policyantów i to właśnie stanowi naszą siłę, pierwej czy później muszą do nas wrócić.

Dali mi bardzo przyzwoitą pozycyę, a dowiedziawszy się, że za cesarstwa jeździłem do Twikenham, Badenu, Woodnorton, by trochę czuwać nad książętami Orleańskiemi, powiedzieli mi: „Doskonale się trafia, wiemy, że ks. Joinville pod przybranem nazwiskiem wcisnął się do jakiejś armii prowincyonalnej. Probój go odnaleźć.“ Zacząłem więc szukać ks. Joinville. Wydało mi się to zresztą zabawnem, że dla Rzeczypospolitej robiłem to samo, com przez lat 10 robił dla cesarstwa. Tak mój drogi, zostaje się łatwo filozofem, zajmując się przez piętnaście lat polityczną policyą. Cesarstwo kazało nam ścigać książąt Orleańskich... Rzeczpospolita każe nam także ścigać książąt Orleańskich. Im częściej się to zmienia, tembardziej pozostaje tem samem.

Schwytaliśmy nareszcie księcia Joinville, bił się przeciw Prusakom w armii loarskiej. Trzymaliśmy go przez pięć dni, od 13 do 18 stycznia, w więzieniu w Mans, w hotelu prefektury. A później ja właśnie odprowadziłem go do St. Malo i przypilnowałem, by wsiadł na okręt, odpływający do Anglii.

Gdym patrzył na statek, odpływający do Jersey, przyszło mi na myśl, że wszystko to jednak jest trochę dziwnem. Znaleziono mnie w Tours w mundurze, gotowego iść dalej na plac boju z kolegami. Zdjęto mi mundur i kazano pracować nad wydaleniem z Francyi człowieka, który także miał dobrą wolę walczenia z Prusakami, nie mówiąc już o żandarmach z Mans i z linii Mans-St. Malo, którzy służyli nam za eskortę, a którzy także stokroć lepiej biliby się z Prusakami, od tych wszystkich mobilów i zmobilizowanych. No, ale w naszym zawodzie nie trzeba zanadto w głąb rzeczy zaglądać.

Co prawda, zawód nasz ma tę wielką zaletę, iż nie jest monotonnym. Gdy pomyślę naprzykład, że ja, który z tobą rozmawiam teraz „pod czarną kulą“, d. 13 stycznia 1871 r. aresztowałem w Mans księcia Joinville, a 17 t. m. malarza Courbet w Paryżu. Gdy pomyślę, że 17 stycznia 1872 r. składałem w Chislehurst hołdy cesarzowi Napoleonowi. a 24 stycznia t. r. miałem w Antwerpii audyencyę u hr. Chambord.

— Jakto, rozmawiałeś z cesarzem i z hr. Chambord?

— Tak, jak w tej chwili rozmawiam z tobą, mój drogi Marcou. W Chislehurst nie było to wielką sztuką: wchodziło się tam, jak do domu zajezdnego; udawałeś się do odźwiernego, mówiłeś mu, żeś Francuz poważny, że pragniesz być przyjęty przez cesarza; zostawiało się swoją kartę, swój adres w Londynie i nazajutrz miałeś bilet audjencyonalny. Ułożyłem sobie bardzo ładną historyjkę bonapartystowską: „Mój dziad był kapitanem w gwardyi cesarskiej zabity pod Waterloo i t. d.“ Udało się to doskonale. Byliśmy przyjmowani kolejno, po dziesięciu, lub dwunastu, w niedzielę, po mszy. Wpuszczano nas do małego niebieskiego saloniku na dole, i kogoż widzę przy cesarzu? Naszego dawnego szefa, pana Pietri... Otóż, gdy przyszła na mnie kolej, wybąknąłem kilka zręcznych frazesów o stanie Paryża, o braku bezpieczeństwa i spokoju, dodając, że wszyscy żałują cesarza i administracyi pana Pietri... Cesarz się uśmiechnął, a gdym wychodził, p. Pietri zbliżył się do mnie, uścisnął mi rękę i rzekł, że przemówiłem jak na dobrego Francuza przystoi.

(Dokończenie nastąpi).